

ŚLYSZYSZ? NIESŁYCHANE. CZĘŚĆ 1: CZY MOŻESZ POWTÓRZYĆ?

CAN YOU HEAR? IT IS UNHEARD OF. PART 1. COULD YOU REPEAT?

Instytut Psychologii UJ, Zakład Psychologii Zdrowia
Dyrektor: dr hab. Michał Wierzechoń

**existential psychotherapy
phenomenology
inexpressible**

Artykuł czyni ze słuchania jedną z lekcji psychoterapii. Jej metodą jest fenomenologia, a wynikiem rozjaśnianie sytuacji egzystencjalnej osób zaangażowanych w psychoterapeutyczną relację. Dobroczynność tej relacji postawiona zostanie pod znakiem zapytania. Jeśli psychoterapia jest sztuką, sztuką jest także umiejętność słuchania. Czy każde słuchanie jest dobre? A skoro może być dobre, czy może także być niedobre? Kiedy słuchanie szkodzi?

Summary: If psychotherapy is an art, then the ability to listen is also an art. Is every kind of listening good? And if it can be good, could it also not be good? When does listening do harm? The article makes the listening one of the psychotherapy lessons. Its method is phenomenology, and the result — clarification of the existential situation of people engaged in a therapeutic relationship. The beneficial value of this relationship will be put into question.

To wszystko, jakie wszystko, skąd przychodzące, z czego złożone? [...]. A gdybym słuchał jeszcze tego dalekiego oddechu, który umilkł od dawna i wreszcie go słyszę, dowiedziałbym się jeszcze innych rzeczy na ten temat. Ale na razie nie będę go słuchał, bo nie lubię tego odległego oddechu, a nawet się go boję. Ale ten dźwięk nie jest jak inne, których się słucha, kiedy ma się na to ochotę, i które można uciszyć, oddalając się lub zatykając sobie uszy — nie, ten dźwięk zaczyna szumieć nam w głowie nie wiadomo, jak ani dlaczego. Słyszy się go głową, uszy nie mają z tym nic wspólnego, i nie można go uciszyć, lecz ucisza się sam, kiedy chce. Nie ma znaczenia, czy go słucham, czy nie słucham, zawsze będę go słyszał, nawet grzmot nie mógłby mnie od niego uwolnić, aż ustanie. Ale nic mnie nie zmusza do mówienia o nim z chwilą, gdy mi to nie odpowiada. [1, s. 67–68].

Od czasu Freuda niewiele się zmieniło; psychoterapia wciąż znajduje porękę w możliwości słowa skierowanego do drugiego, darowanego komuś w odpowiedzi i znów danego. Magia słowa, które w relacji terapeutycznej odzyskuje swą moc, wspiera się na zdolności do słuchania.

Słuchanie, w porównaniu z mówieniem, sprawia wrażenie, że przychodzi łatwiej. Język polski — bogaty w związki frazeologiczne, gdy chodzi o mówienie (np. „wykrzesać z siebie słowo”, „brak słów”, „mieć coś na końcu języka”) — skromny jest, gdy idzie o słuchanie. Osobliwość ta odzwierciedla praktyki naszej codzienności: jesteśmy uczeni mowy i uczymy się mówić; następnie uczymy innych mówić. Słuchanie jedynie zredukowane do posłuszeństwa bywa lekcją dyscypliny¹.

Nie dajmy się jednak zwieść zbyt szybko sformułowanym wnioskowi: słuchanie nie jest ani możliwością, która sama przychodzi z czasem, ani nie obywa się bez nauki, niekosztującej tego, kogo uczy. Jak można „niedowierzać własnym oczom”, tak też można „niedowierzać własnym uszom”. Drogi odchodzenia od zmysłów krzyżują się w jednym losie i wygląda na to, że osnową niewymownego jest niesłychane.

Uczyńmy słuchanie jedną z lekcji psychoterapii. Jej początek może się zaczynać tak:

1. Słucham. Czy możesz powtórzyć?

Narrator „Pierwszej miłości” [2, s. 7], słusznie czy niesłusznie kojarząc swoje małżeństwo ze śmiercią ojca — był świadomy, że oprócz powiązań w czasie, istnieją na innych płaszczyznach też inne — należał do osób z trudem wypowiadających to, co myślą, że wiedzą. Nie jest pewne, czy czytał Platona, na pewno jednak nie był sofistą i dobrze wiedział, że można, nie wiedząc czegoś, myśleć, że się wie [4, s. 229]. Dość, że wypowiadał się rzadko i tylko wtedy, gdy nie miał wyjścia. Pod wieloma względami przypominał Molloya — ten też unikał mówienia, bo gdy już coś powiedział, nigdy nie było tym, czego chciał. *Proszę pana, potrzebuję pana* — usłyszał tamtego dnia, chwilę po tym, jak najechał na jej psa, śmiertelnie go raniąc. *Przypuszczalnie* — pomyślał — *widząc po moim wyrazie twarzy, który mnie często zdradza, że zrozumiałem, pomyślała zapewne: Jeżeli to rozumie, może rozumieć też i resztę. I nie myliła się, gdyż po pewnym czasie znalazłem się w posiadaniu pewnych myśli czy poglądów, które mogły mi przyjść tylko od niej [...]. Ona mnie potrzebuje, abym jej pomógł pochować psa, a ja jej potrzebuję, nie wiem z jakich powodów. Chyba mi je podała, ponieważ była to instytucja, której nie mogłem pominąć milczeniem, jak pominąłem milczeniem wszystko inne, toteż jej powiedziałem bez żenady, że nie potrzebuję ani jej, ani w ogóle nikogo, co było może lekką przesadą, musiałem chyba potrzebować mojej matki, bo dlaczegoż bym tak zawzięcie do niej podążał? To jedna z przyczyn* — powiedział potem do siebie — *dla których unikam mówienia, jeśli to tylko*

¹Świadczenia słuchania zmuszonego do posłuszeństwa przez tych, do których należał głos i ostatnie zdanie (czy jest zawsze po drodze do ostatecznego rozwiązania?), zebrał Pascal Quignard w eseju zatytułowanym „Nienawiść do muzyki”. Ci, którzy musieli słuchać rozkazów, musieli też słuchać muzyki; nienawiść do tego, co kochali, była tylko kwestią czasu, jeśli go mieli. *Muzyka*, pisze Quignard, *jako jedyna ze sztuk wzięła udział w eksterminacji Żydów, dokonanej przez Niemców między 1933 a 1945 rokiem*. Dlaczego? pyta i odpowiada: *Muzyka gwałci ludzkie ciało. Stawia na równe nogi. Rytm muzyczny zaczarowuje rytm cielesny. Przy spotkaniu z muzyką ucho nie może się zamknąć. Muzyka, jako że sama posiada władzę, z łatwością przyłącza się do wszelkiej władzy. Ze swej istoty nie jest egalitarna. Słuch i posłuszeństwo są powiązane [...]. Wszędzie, gdzie jest dyrygujący i wykonawcy, jest również muzyka* [3, s. 183–186]. — Posłuszeństwo, myślę, jest zatem jedną z możliwości bytu, który słyszy. Skoro potrafi słuchać, może też domagać się posłuchu i strącać nieposłusznych w otchłań ziemskiego piekła. Może też uchylać nieba. Między piekłem i niebem granica przebiega przez człowieka.

możliwe. *Bo mówię zawsze za dużo albo za mało, co mi sprawia przykrość, jako że bardzo jestem zakochany w prawdzie* [1, s. 60–61]. Obaj pod pewnym względem przypominali narratora z „Kadyszu za nienarodzone dziecko”. Nie znali się osobiście (literatura ma jednak granice), ale można przypuszczać, że rozumieliby się bez słowa (*sic!*): mowa nie była dla nich narzędziem komunikacji, raczej formą istnienia, na którą się zdawali, gdy inne zawiodły (zdając się na nią tak czy owak). Mówili, by przeżyć, choć nie mieli nic do powiedzenia albo nie to. *Nie wiem, z jakiego powodu u mnie wszystko zawsze musi być inaczej, pomyślał kiedyś jeden z nich, a nawet jeśli wiem, prościej będzie, gdy będę żył w mniemaniu, że nie wiem. W ten sposób uniknę tłumaczenia się. Okazuje się jednak, że tłumaczenia niepodobna uniknąć, bezustannie coś tłumaczymy albo się tłumaczymy, tego wymaga od nas to niewytłumaczalne zjawisko i zespół uczuć, jakim jest życie, tłumaczenia żąda nasze otoczenie, i wreszcie my sami pragniemy wytłumaczyć się przed sobą, aż uda się nam wszystko wokół, włącznie z samym sobą wytłumaczyć, aż do końca, czyli inaczej zniszczyć* [5, s. 8]. *Nie do wiary — pomyślał drugi — jak ludzie powtarzają to, co im się przed chwilą powiedziało, jak gdyby narażali się na stos wierząc własnym uszom* [2, s. 14].

Między domaganiem się słowa („powiedz coś”) a darowaniem (sobie) słowa, przyjęciem słowa lub ciszy zamiast słowa, upływa czas, w którym zdarzyć się może niejedno. To, co przynosi, dalekie jest od jednoznaczności, jaką sugerują „tak” i „nie”, wypowiedziane, jak wtedy: „Słyszysz mnie? Tak? Nie?” — *Nie chcę powiedzieć, nie wiedzieć, co się chce powiedzieć, nie móc powiedzieć tego, co się myśli, że się chce powiedzieć, a jednak mówić albo coś w tym rodzaju — oto, czego nie należy tracić z oczu w gorączce formułowania* [1, s. 54]. Także w gorączce słuchania, bo nie istnieje mowa, której by nie dopełniało czyjeś słuchanie, jak ona wieloznaczne i upływające z czasem między myślą a słowem, słowem a innymi słowy, słowem na myśli a brakiem słów, ciszą zamiast słów na pokrycie milczenia.

Gdy w końcu powiedział jej, że mu przeszkadza (każdego dnia siadała obok niego na ławce, która, odkąd usłyszał *proszę mi zrobić miejsce*, pozostanie w jego wyobraźni związana z nią — *mówienie o ławce takiej, jaką mi się wydawała w tamten wieczór, to mówienie o niej* [2, s. 13]), zapytała: *A więc nie chce już pan, żebym przychodziła?* [2, s. 14]. Czy nie wierzyła własnym uszom, jak przypuszczał? I dlaczego miałaby im wierzyć albo nie? Czy nie wyrażał się wystarczająco jasno, mówiąc, by mu nie przeszkadzała? Zresztą, jak można nie wierzyć własnym uszom? Czy nie są po to, by dawać wiarę ich świadectwu? A jednak pomyślmy: fala dźwiękowa, przekształcona w mechaniczne drgania, a następnie w impuls elektryczny, biegnący drogami nerwowymi prosto do pierwszorzędowej kory słuchowej, by tam, ulegając procesom analizy, zamienić się w dźwięk, staje się znacząca dopiero z czasem. Ten musi upłynąć, aby drgania powietrza, niedostrzegalne dla „nieuzbrojonego oka”, przybrały postać przedmiotu świadomości, któremu da wiarę („słyszę, więc jest”) lub nie dowierzy („musiałem się przesłyszeć; to niemożliwe”). Że przedmioty świadomości, aktualizujące się w jej aktach, nie są niczym trwałym — zmieniając swoje położenie, modyfikujemy formy wokół nas — przekonać się może każdy, kto słysząc „znów to samo”, naraz słyszy „coś innego” albo słyszy „inaczej” lub już nie. *Jego spojrzenie obudziło ją — banalne stwierdzenie do czasu, aż usłyszane po raz pierwszy w obcym języku: Son regard à lui la réveille* [6, s. 14], i od tej pory nie przestaje prze-

mawiać do wyobraźni sugestywnym obrazem: coś, czego nie widzę, widzi mnie i mnie budzi, jakbyśmy wszyscy byli mieszkańcami Tlön, którego nie ma na mapie, bo *kiedy w jednym miejscu śpimy, czuwamy gdzie indziej, i każdy człowiek jest w ten sposób dwiema osobami* [7, s. 24].

Świadomość opiera się zmysłom, ale nie na nich, toteż niedowierzenie własnym uszom, obok dawania im wiary, wpisuje się w dynamikę każdego słyszenia, odbierając pewność, czy usłyszane „na własne uszy” nie jest jedynie pomyślanym, i nie pochodzi z czasów i miejsc, których z jednej strony nie ma, bo już były lub będą (może), z drugiej strony, w pewnym sensie są, skoro dają nam do słyszenia. Więc nie wiadomo, czy usłyszane „na własne uszy” nie jest jedynie pomyślanym (pamiętasz, wołał słuchać dotyku jej dłoni, niż jej głosu, który nie przypominał tamtej [8]) lub tym niesłyszczanym, którego nie potrafimy pomyśleć, co dopiero powiedzieć; poznać? (mój Boże!). „Pani mąż żyje” — usłyszałam, odbierając telefon od sąsiadki tamtego dnia, który przypominał inne. Byłam akurat w pracy, gdy zadzwoniła. „Co za nowina!”, pomyślałam, „Przecież wiadomo, że żyje”. Dopiero po chwili dotarło do mnie to, co do mnie mówiła. W jednej chwili życie straciło dawną oczywistość. (Czy każde światło żywi się zniszczeniem, jak promień świecy, jak miłość, że cię nie opuści, aż przyjdzie pora?)

Tylko to, co daje się słyszeć, może zostać usłyszane. Usłyszane nie równa się temu, co daje się słyszeć, bo nie wszystko, co daje się słyszeć, może być usłyszane. I nie chodzi tu jedynie o czułość naszego narządu słuchu, wyrażaną w jednostkach fizycznych (będących podstawą porównań) i podlegającą wahaniom w ciągu dni i nocy, składających się na bieg życia. Nasza zdolność słyszenia nie jest jedynie funkcją tego, co jest, ale także ekspresją tego, co być może. Zasadne więc wydaje się powiedzieć, że każdemu u-słyszczanemu towarzyszy nie-u-słyszane, a nawet to, że nie-wy-słuchane jest brzemieniem każdej chwili. — *Czy znalazł się chociaż jeden, który zechciałby postawić się na moim miejscu i poczuć, w jak małym stopniu byłem w tej chwili tym, na jakiego wyglądałem* [1, s. 46–47]? „Nie dochodzi do mnie to, co pani do mnie mówi” — słyszę od pacjentki, gdy przychodzi ponownie. „To, co mówię, zatrzymuje się gdzieś po drodze między mną a panią” — odpowiadam. „Dopiero, gdy rozmawiam z przyjaciółką, dociera do mnie to, co tu słyszę”. — „By usłyszeć, musi mieć pani obok siebie kogoś bliskiego. Ja nie jestem blisko... Słyszy pani mój głos, ale nie wie, skąd pochodzi”.

Wyobraźmy sobie: każda chwila jest sceną, na której wystawia się spektakl świata. Przedstawienie, wraz z upływem czasu, zmienia się, pozostając tym samym spektaklem jednego widza i wielu aktorów. Aktorzy, pojawiający się na scenie: postaci, rzeczy i zdarzenia — słowem: wszystko, co sprawia (że), czyni (coś), działa (jak)², wydane jest ciału o jednej parze oczu i jednej parze uszu, utrzymujących ze sobą kontakt za pośrednictwem mózgu, też jednego. Na każde „widzę”, „słyszę”, „czuję” składa się ciąg wrażeń krzyżujących się w polu percepcyjnym widza. Wrażenia, jakie odnosi ze spektaklu, splatając się z tym, co wcześniej przeżyte, stają się wyobrażeniami tego, czego aktualnie doświadcza słysząc i patrząc, czując. Będąc widzem *teatru wyobraźni* [9, s. 8], jest jednocześnie jego aktorem: zawsze na scenie, choć może myśleć, że przed nią; w ruchu, choć wydaje się niewzruszony. Czy potrafi, będąc sam poruszony, usłyszeć wyraźnie innych, też poru-

²Actōr, przypomnijmy, to ten, kto sprawia, kto działa, kto czyni (*actitō*).

szonych, choć inaczej (*Na skraj kaluży każdy kot skacze inaczej* [10, s. 178])? Wśród gwaru idiomatycznych dialektów rozpoznać dźwięki, których znaczeń jest pewny? Czy nie żyje raczej echem tego, co jest i daje się słyszeć, ledwie pogłosem tego, co może być znaczące? A wyobrażenie tego, co słyszy, czy nie jest sygnaturą czasu, w którym zapisuje się historia: unikalnym znakiem nadchodzącego (słucham) i już przeszłego (słyszałem)? A moment usłyszenia, za każdym razem, gdy następuje, czy nie jest prawykonaniem słyszalnego, unikalnym, jak wszystko, co zdarza się tylko raz, i nieodwracalnym, nawet jeśli jest nieskończone? Jest u-słyszane ulotnym śladem przemijania?

Sprecyzujmy: To, co daje się słyszeć, może być usłyszane (wykonane) lub nieusłyszane (poniechane). Zapewne jest jednym i drugim, bo granica między słyszonym (już) a niesłyszonym (jeszcze) jest do przeprowadzenia tylko na kartce papieru, z czasem znoszącej (*sic!*) ślady naszej obecności na spektaklu. To, co daje się słyszeć, dociera do nas w formie usłyszanego. Forma jest znakiem tego, co się w niej wystawia: co daje się słyszeć, choć niekoniecznie bywa usłyszane. Jak każdy znak, usłyszane reprezentuje coś innego; w tym wypadku zarówno to, co z danej chwili słyszane, jak i to, co nieusłyszane, choć słuchane. Zasady, którymi rządzi się fenomen słyszalności — „rozpostarty” między tym, co daje się słyszeć, a tym, co słyszy (i jak) lub nie słyszy (i co), i reprezentowany w formie usłyszanego — nie są łatwe do przewidzenia, jeśli w ogóle są. Bo z jakiej racji (i czyjej), policjant zawołał na Molloya, który właśnie był zsiadł z roweru, respektując prawo, zakazujące wjazdu do miasta cyklistom? *To słuszny przepis i przestrzegam go zawsze, mimo trudności, jaką sprawia mi posuwanie się naprzód o kulach, popychając jednocześnie rower. Poradziłem sobie jakoś. Trzeba było o tym pomyśleć. Tak więc przebyliśmy ten trudny odcinek, mój rower i ja, jednocześnie. Ale trochę dalej usłyszałem, że mnie ktoś woła. Podniosłem głowę i zobaczyłem policjanta. To eliptyczny sposób mówienia, bo dopiero później, w drodze indukcji czy dedukcji, sam już nie wiem, zrozumiałem, że to on. Co pan tu robi? Zapytał. Jestem przyzwyczajony do tego pytania i zrozumiałem je z miejsca. Odpoczywam, odpowiedziałem. Odpoczywa pan, powiedział. Odpoczywam, powiedziałem. Proszę odpowiedzieć na pytanie! Zawołał. Zawsze mi się to zdarza, kiedy żądają ode mnie odpowiedzi. Kiedy sądzę, że szczerze odpowiedziałem na postawione mi pytanie, okazuje się, że właśnie nic podobnego. Nie będę przytaczał wszystkich zawiłych szczegółów tej rozmowy. W końcu zrozumiałem, że mój sposób odpoczywania, moja postawa w czasie wypoczynku, okrakiem na rowerze, z rękami na kierownicy, z głową na rękach, była zamachem nie wiem już na co, na porządek publiczny, na przyzwoitość. Wskazałem skromnie na swoje kule i ośmieliłem się coś wybąkać na temat kalectwa, które zmusza mnie do wypoczywania, jak mogę, a raczej jak muszę. Usłyszałem wówczas, że nie ma dwóch praw, jednego dla zdrowych, a drugiego dla ułomnych, lecz tylko jedno, do którego mają się stosować bogaci i biedni, młodzi i starzy, weseli i smutni. Och, był to prawdziwy mówca* [1, s. 45–46].

Prośba o powtórzenie (*Odpoczywa pan*) i powtórzenie, będące prośbą (*Odpoczywam*). Prośba maskująca roszczenie (*Proszę odpowiedzieć na pytanie*) i roszczenie, nie znoszące prośby (*Wskazałem skromnie na swoje kule i ośmieliłem się coś wybąkać na temat kalectwa, które zmusza mnie do wypoczywania, jak mogę, a raczej jak muszę*). Mówienie (*Och, był to prawdziwy mówca*) i stanowienie prawa (*Usłyszałem wówczas, że nie ma dwóch praw, jednego dla zdrowych, drugiego dla ułomnych*). Słuchanie (*Co pan tu robi? — Odpoczywam*)

i domaganie się posłuszeństwa ([Jest tylko jedno prawo], *do którego mają się stosować bogaci i biedni, młodzi i starzy, weseli i smutni*). Między dającymi się słyszeć zawiązuje się sieć nie-dających-się-usłyszeć zależności.

Byłoby usłyszane cieniem niesłuchanego, którym jesteśmy poza tym, co daje się usłyszeć? A niedowierzanie własnym uszom — niewymownym śladem tego, co jest, zostawionym na scenie spektaklu zwanego naszym życiem?

2. Usłyszałem. Nie mów więcej

Jeśli nie wiem nic o tym, czym jestem, poza tym, co mogę, wówczas łatwo zredukuję to, co jest, do tego, co słyszę (widzę, czuję). To, co słyszę, jest wyobrażeniem tego, czego wrażenie mam, i jako takie jest ubogie wobec rzeczywistości, w której żyję. Świadomość wyobrażająca — przypomnijmy dzieło Jeana Paula Sartre'a — jest wobec tego, ku czemu się kieruje, niczym „fala pośród fal”; dryfujący na nim „kawałek drewna”, jest tym, co wyobrażone z tego, co poza tym jest *nieskończoną wielością możliwych określeń i stosunków*. *W świecie percepcji* — pisał — *nie może zjawić się «żadna rzecz», która by nie utrzymywała z innymi rzeczami nieskończenie wielu stosunków. Więcej nawet, te niezliczone stosunki oraz stosunki, w jakie składniki rzeczy wchodzą między sobą — stanowią właśnie samą istotę rzeczy. Stąd bierze się pewna nadmiarowość świata «rzeczy»; w każdej chwili zawiera się w nim nieskończenie więcej, niż potrafimy dostrzec; aby wyczerpać bogactwo mego aktualnego postrzeżenia, potrzebowałbym nieskończonego czasu* [11, s. 24].

Nie mamy czasu, a każdy się kończy. Będąc skończeni, wykańczamy rzeczy, ilekroć wyobrazimy sobie, że kończą się na nas. Wcale nie przychodzi nam to z trudem: wszak zdani jesteśmy na wrażenia; te są zawsze wybiórcze, ponieważ stronicze. Jesteśmy stronami rzeczy, a one dane nam są jedynie z profilu. Mając tak niewiele, próbujemy wyobrazić sobie całą resztę. Wrażenia rzeczy: zarys postaci, ruchomy na wietrze, głos wlewający się w ciszę, dochodzący do nas w porcjach słów, jakiś zapach, jakiś dotyk, otóż stają się one, wrażenia, wyobrażeniami rzeczy i niewiele trzeba, byśmy zaczęli je brać za rzeczy, choć są jedynie z nich. Szkice zamieniają się w portrety, portrety w osoby portretowane: jesteś, co u-widzę i kropka; głosy — w wyrazy, wyrazy w poglądy, poglądy w podglądanych: jesteś, co u-słyszę³; już. Odrzeczywistniająca funkcja świadomości, której Sartre poświęcił swe dzieło, prowadzi w konsekwencji do zapoznania nadmiarowości świata wobec nas, istot skończonych (*Czulem [przecież] mgliście, że nic na tym świecie nie może dojść do końca, że nic nie może się dopełnić* [12, s. 15]) i jednocześnie (czy paradoksalnie?) — do zaprzeczania naszej bezmierności. — *Byłem mały, mniejszy niemal niż zazwyczaj, i krzew białego głogu, który drżał bardzo, był ode mnie większy. Widziałem to, gdyż przed chwilą znajdował się zupełnie blisko. Ale*

³Użyty w słowach: „u-widzę” i „u-słyszę” prefiks „u” ma podkreślić zawłaszczający charakter świadomości wyobrażającej: postrzegając, odnosimy wrażenia do uprzedniego doświadczenia. Metaforycznie rzecz ujmując: to, co aktualne, mości sobie miejsce w tym, co przeszłe, stając się aktualnym wyobrażonym. Jaki jest udział świadomości w powstawaniu wyobrażeń jest dyskusyjne, toteż sformułowania: „u-widzę” i „u-słyszę” nie są ścisłe. Należałoby może mówić jednocześnie: „u-widzę” i „u-widziało mi się”, co możliwe nie jest. Starczyć nam zatem musi świadomość kontrowersji.

przecież pomyliłem się, gdyż moje ramiona były takie wielkie jak chmury deszczowe nad okolicą i tylko poruszały się bardziej gorączkowo [...]. Lecz nogi, moje niemożliwe nogi, rozciągały się ponad zalesionymi górami i rzucały cień na wiejskie doliny [...]. Proszę was, panowie, powiedzcie mi, jakiego jestem wzrostu, zmierzcie te ręce, te nogi? [13, s. 92]. — Czy nie jest ona, świadomość wyobrażająca, na usługach „zasady przyjemności” i podlegającego jej rozszczeniu intelektu, ograniczającego się, w tym wypadku, do „rachowania na coś” i obliczania „czegoś”, co nie wiadomo, czy będzie? A jej dzieła, czy nie bywają często iluzorycznym zwycięstwem nad rzeczywistością, która „wypada nam z rąk”, bo przecież *niczego pan, [pani] nie zdobywa. Nie panuje pan, [pani] nawet nad zbliżającą się chwilą* [13, s. 96]?

Jeśli nie wiem nic o niesłychanym, łatwo sprowadzę każde coś do czegoś: *mimowolne gesty kwiatów ostatecznie sprecyzują przez osuszenie* [14, s. 48]; zająkliwy głos — odbiorę, idąc za tym, co u-słyszę; gdy zawrócę, ciebie już nie będzie. Od ślepej uliczki moich oczu odwrócisz wzrok, zawrócisz; przejścia nie ma. I tak, czy przez przypadek, stanę się zaczynem twojego losu; wprawię go w ruch i pójdzie w zawody z twoim życiem — nieskończonym, upływającym tylko pośród skończonego. — Bezpowrotność łez, opadających ze mnie jak liście z drzew; czy wrócą?

Zanim przejdziemy do przykładów z praktyki psychoterapeutycznej, zostanmy jeszcze chwilę z Sartrem. Sześcian. Gdy o nim myślę, wiem, że ma sześć ścian, osiem kątów, a każdy między dowolnymi ścianami, trzema, jest prosty. Kiedy patrzę na sześcian z mojego punktu widzenia, nie widzę ani ośmiu ścian, ani kątów prostych. Widzę go „z profilu”: raz tak, raz inaczej, w zależności od tego, z której strony patrzę. Darowany widok wyklucza inne; są możliwe, ale nie dla mnie, albo nie teraz. *Jakości [sześcianu] wyrrywają się ku istnieniu i zatrzymują w pół drogi. Wyobrażeniu właściwe jest ubóstwo* [11, s. 37]. Więc jeśli byle sześcian wykracza poza moją świadomość (mogę go pomyśleć, ale nie zobaczę w pełni jego jakości), to co dopiero ty, który zwracasz na mnie uwagę lub wcale? Widzę, że jesteś, słyszę, gdy mówisz. Wyobrażam sobie kogoś i coś. Wyobrażać mogę sobie niejedno, lecz czy więcej oznacza ciebie? *Wyobrażenie przeciwstawia się postrzeżeniu ze względu na właściwe mu ubóstwo. Poszczególne składniki wyobrażenia nie wchodzą w żadne stosunki z resztą świata, a między sobą utrzymują dwa lub trzy stosunki te np., które mogłem stwierdzić albo te, na których uchwyceniu mi szczególnie zależy. Nie należy przypuszczać, że inne stosunki istnieją w utajeniu, że oczekują, by skierowała się na nie wiązka światła. Nie, nie istnieją one wcale. Np. dwie barwy, między którymi w rzeczywistości zachodziłby pewien stosunek dysharmonii, mogą współistnieć w wyobrażeniu, nie pozostając względem siebie w żadnym stosunku* [11, s. 25]. — Jeśli zapomnę o ubóstwie świadomości wyobrażającej, która, w co sama chcę wierzyć, nie zna granic, czy nie „przebierze” wówczas „miary”, redukując nadmiarowość do wymiaru?

3. Słucham. Nie słyszę

„Zadaje mi pani ból” — mówiła przez wiele miesięcy, ona, która nie pamiętała swej przeszłości i nie miała nadziei na przyszłość. Płynął czas, mijały miesiące terapii — wciąż stała w jednym miejscu. Niezmiennność jej położenia wydawała mi się znacząca. Wyobra-

żałam sobie, że nie chce „ruszyć z miejsca”, które choć ciasne, było jej. Innym razem, że próbuje w ten sposób „zatrzymać czas”, nie godząc się na jego mijanie. Znow kiedy indziej snułam domysły, że chce, bym i ja doświadczyła fiaska swoich nadziei. Miała powody, by sądzić, że życie obeszło się z nią niesprawiedliwie. Czasami winiła o to innych, czasami siebie. Gdy winiła mnie, jej ból stawał się łatwiejszy do niesienia? A może mówiąc do mnie, za każdym razem, gdy się widziałyśmy, że zadaje jej ból, chciała, by mnie też bolało? Raniła mnie, oskarżając, bym poczuła, jak to jest, gdy wciąż boli? Znow innym razem coś innego, i znow ślad mnie, który bolał ją tak samo. Moja wyobraźnia, karmiąca się tym, co u-słyszane (zobaczone, odczute), zamieniona następnie w słowa kierowane do wyobrażonej, zadawała jej ból, bo wyobrażałam sobie, ale czy ją? Jej ból. Czy nie był znakiem owej nadmiarowości, która przekracza naszą wyobraźnię, więc i moją, i nie daje się bezboleśnie zamknąć w przedmiocie (myśli, słowa), chyba że za cenę życia? Był czymś, co nie dawało odebrać sobie głosu; nieartykułowanym, broniącym się przed wysłowieniem; niewymownym, na które nie ma słowa, a jeśli jest, to czy na miejscu? Był śladem niesłuchanego, które spoza u-słyszanego „mówiło”: słuchaj mnie jeszcze?, bo *obszary wewnętrzne nie pokrywają się z mową, wloką człowieka tam, gdzie nie mogą przebywać słowa. Często decydujące jest to, o czym nie można nic powiedzieć, a impuls, żeby o tym mówić, przebiega pomyślnie, ponieważ rozmija się właśnie z tym najważniejszym* [15, s. 12–13]?

„Jest jak walec” — słyszę od terapeutki, rozmawiającej ze mną o pacjencie, młodym mężczyźnie. „Zero absolutne emocji”. „Siedzi bez ruchu, nie widzę nawet, żeby oddychał”. „Jakby zamrożony”. „Prawie zasypiam na sesjach”. Terapeutka wyobraża sobie, że przychodzi na terapię tylko ze względu na żonę, zaniepokojoną zachowaniem ich kilkuletniego syna. Otóż od pewnego czasu dziecko „przebiera się za laski”, doprowadzając ojca do wściekłości, a matkę do łez. „Przyłapuję się na tym” — mówi do mnie terapeutka — „że chciałabym nim potrząsnąć, żeby wreszcie coś powiedział, zaangażował się”. „On nic nie mówi?” — pytam po chwili. „Nic. Odpowiada tylko zdawkowo na pytania, gdy je zadam”. — Nie mówi?, zastanawiam się, czy nie słyhać, że mówi? A może oboje coś mówią, ale żadne z nich nie słyszy kto? Powtarzam za terapeutką słowa, którymi opowiada o spotkaniu. Powtarzam je na głos, by w-słuchiwać się w tego, którego mówią: „jak walec”, „zero emocji”, „bez ruchu”, „jakby zamrożony”, „nie widać, żeby oddychał”, „zasypiam”. Czy to, co słyszę, nie jest różnymi imionami traumy? Proszę terapeutkę, by opowiedziała mi jego historię. Zaczyna od końca, proszę, by od początku. Wtedy mówi, że gdy miał jedenaście lat, w wypadku samochodowym, w którym razem z nim brała udział cała jego rodzina, zginęła jego starsza o parę lat siostra. „Jego rodzice przeżyli” — dodała. „A on?” — pytam. „Powiedział, że wydaje mu się, że nie”.

Słuchanie z daleka i słuchanie z bliska. Z bliska usłyszeć można tylko to, co namacalne: wyraźne i bez echa. Z daleka pochodzi to, co kiedyś było bliskie i dziś daje o sobie znać niewyraźnym echem. Z bliska: *To dom mojego ojca, ale sprzęt obok sprzętu stoi zimny, jak gdyby każdy z nich był zajęty swoimi sprawami, o których po trosze zapomniałem lub nie wiedziałem nigdy. Jakiż mogą mieć ze mnie pożytek, co dla nich znaczą, choć jestem synem ojca, starego wieśniaka. Z daleka: I nie odważam się zastukać do kuchennych drzwi, tylko z daleka nasłuchuję, stojąc, ale tak, aby nie można mnie przyłapać na podsłuchiwanie. A że słucham z daleka, nie słyszę nic prócz lekkiego tykania zegara — a może wydaje mi się, że słyszę — które dochodzi z dzieciennych lat* [16, s. 620].

Czy każde: „usłyszałem” niesie ze sobą: „nie mówi więcej”?; dalekie zagłusza bliskim, i w konsekwencji słucha krótko? — Wydaje mu się, że nie przeżył. Nie rusza się; czy oddycha? Ledwie mówi, tylko zapytany, bo *coż może zdziałać mówienie? Jeśli w życiu wszystko jest nie tak, również słowa spadają w przepaść* [15, s. 13]. Te, które miał i te, których wtedy mu zabrakło? — *Słowa są skrojone do mówienia, być może nawet precyzyjnie skrojone. Istnieją tylko po to, aby mówić, powiedzmy, że również po to, aby pisać. Ale one także nie rozumieją śrubokrętowych gałęzi drzew morelowych i mózgowego kapelusza. Nie są w stanie reprezentować tego, co się dzieje w głowie* [15, s. 18]. — Wydaje mu się, że nie przeżył. Syn, przebrany „za laski”, próbuje przywrócić ojcu oddech? Chce, by ożył ten, któremu wydaje się, że nie przeżył? Rzuca mu się w oczy, licząc na spojrzenie, które go obudzi? Syn, on jeden, potrafi słuchać z daleka?

Jeśli uświadamiamy sobie, że pierwsze spotkanie ze światem, który nie jest nami, ma miejsce jeszcze w łonie naszych matek i dociera do nas na fali dźwięków, rozlegających się w ciemności, przychodzących „nie wiadomo skąd” i niewyraźnych, stłumionych wodami łożyska i ścianami macicy, wówczas fenomen słuchania z daleka uznamy za fundamentalny dla naszej późniejszej zdolności słuchania. Od niego zaczyna się dla nas świat, przebrany za dźwięki, znaczący. Zanim zobaczymy go „na własne oczy”, słyszymy go „na własne uszy”; zanim stanie się dla nas namacalny, jest wcześniej słyszalny; zanim wyraźnie, wcześniej niewyraźnie, nim z bliska, najpierw z daleka. I, na co przy tej okazji także zwróćmy uwagę, zanim „wydamy z siebie głos”, słyszalny dla innych, musimy z ich pomocą zaczerpnąć oddechu. Wdech i wydech, dwa przeciwstawne sobie ruchy (na które nie zwracamy uwagi — dopiero, gdy brak tchu), warunkują nasze bycie słyszalnym i bycie, które słucha. Wdech przybliży do nas to, co poza nami; wydech znów oddala; wdychamy w siebie świat i wydychamy, zmieszany nami. W naprzemienności obu ruchów stanowimy z nim jedno. Na „huśtawce oddechu” zawieszono każde „słucham”.

Słuchanie, tak jak oddychanie, to przybliży, to oddala dla nas słyszalne. Namacalności słyszanego, dochodzącej do głosu w postaci: „słyszałem na własne uszy”, odpowiada przeciwstawna jej efemeryczność niesłuchanego, dająca o sobie znać w słowach, jak te: „nie wierzę własnym uszom”. Podczas gdy „słyszenie wyraźnie” czyni z reguły wysiłek dalszego słuchania zbędnym (u-słyszane skupia w sobie słyszalne, jak soczewka wiązkę światła), „nie-do-słyszenie” lub „prze-słyszenie” może mobilizować do dalszego słuchania. „Niedowierzenie własnym uszom” sprawia, że albo słuchamy dalej, albo nie słuchamy więcej. „U-słyszane wcześniej”, oddala od nas „niesłuchane na później”. Dzięki temu możemy słyszeć wyraźnie („Jest jak walec”), ale nie wszystko. Słuchanie, które kończy się z chwilą u-słyszenia, zadowala się tym, co wyobrażamy sobie, że jest. To, co jest poza tym (reszta, która nie stała się wyobrażeniem) pozostaje niewysłuchane, choć może o sobie dawać znać, ale niewyraźnie. Miejsce, z którego przychodzi, porównać można do świata, leżącego poza łonem matki. Dziecko nie ma o nim pojęcia, a jednak dzięki niemu żyje. „Usłyszałem. Nie mów więcej” odcina nas od źródeł życia w pewnym (*sic!*) sensie.

Pacjent, który nie może wydobyć z siebie głosu, ilekroć się boi (*Noszę cichy багаż. Tak głęboko i tak długo opakowywałem się w milczeniu, że nigdy nie będę mógł rozpakować się w słowach. Kiedy mówię, opakowuję się jedynie inaczej* [17, s. 7]). — By wydać z siebie głos, trzeba zaczerpnąć powietrza. Trzeba mieć czym oddychać, by móc złapać oddech; trzeba czymś żyć, by móc samemu przeżyć. On, milczący, siedzi przede mną w gabinecie

i nie może złapać tchu. Nie ma czym oddychać? Nie widzi we mnie kogoś, kto przywróci mu oddech, by mógł z siebie wydać głos? By móc mówić, trzeba oddychać. Banalna konstatacja. Jeśli jednak podważymy jej rzekomą oczywistość, wówczas ukaże przed nami dramat życia. Oddech jest przyjęciem do siebie czegoś spoza siebie. Pierwszy poprzedza trauma, jak wtedy, gdy łapaliśmy go pierwszy raz, zanim mógł stać się miarowy [18]. Być może wciąż ją pamiętamy, a zwłaszcza ci spośród nas, którym w życiu „nie oddycha się łatwo”. Czy dlatego niektórzy długo milczą, zanim odważą się zabrać głos? Niełatwo ich u-słyszeć, bo niesłuchane, którym żyją, wymyka się próbom przekładu. Wy-łożone, zanim wy-słuchane, odbiera nadzieję na oddech, który wraca.

Piśmiennictwo

1. Beckett S. Molloy. W: Beckett S. Pierwsza miłość. Molloy. Kraków: Wydawnictwo Literackie; 1994, s. 29–215.
2. Beckett S. Pierwsza miłość. W: Beckett S. Molloy. Pierwsza miłość. Kraków: Wydawnictwo Literackie; 1994, s. 7–28.
3. Quignard P. Nienawiść do muzyki. Literatura na świecie 2004, 1–2: s. 183–215.
4. Platon. Sofista. Kęty: Wydawnictwo Antyk; 2002.
5. Kertész I. Kadysz za nienarodzone dziecko. Warszawa: Wydawnictwo W.A.B.; 2003.
6. Duras M. Hiroshima mon amour. Paris: Galimard; 2014.
7. Borges JL. Fikcje. Warszawa: Prószyński i S-ka; 1989.
8. Kundera M. Żart. Warszawa: Wydawnictwo W.A.B.; 2014.
9. Merleau-Ponty M. Fenomenologia percepcji. Fragmenty. Warszawa: Wydawnictwo IFiS PAN; 1993.
10. Müller H. Każde słowo krąży w błędnym kole. W: Müller H. Nadal ten sam śnieg i nadal ten sam wujek. Wołowiec: Wydawnictwo Czarne; 2014, s. 5–17.
11. Sartre JP. Wyobrażenie. Fenomenologiczna psychologia wyobraźni. Warszawa: PWN; 1970.
12. Blecher M. Zdarzenia w bliskiej nierzeczywistości. Sejny: Pogranicze; 2013.
13. Kafka F. Opisy walki. W: Opowieści i przypowieści. Warszawa: PIW; 2016, s. 43–98.
14. Rilke R. M. Cézanne. Warszawa: Sic!; 2015.
15. Müller H. Każdy język ma inne oczy. W: Król kłania się i zabija. Wołowiec: Wydawnictwo Czarne; 2009, s. 5–38.
16. Kafka F. Powrót W: Opowieści i przypowieści. Warszawa: PIW; 2016, s. 620.
17. Müller H. Huśtawka oddechu. Wołowiec: Wydawnictwo Czarne; 2010.
18. Rank O. Trauma narodzin i jej znaczenie dla psychoanalizy. Warszawa: Wydawnictwo KR; 2011.

adres: upopoczy@cyf-kr.edu.pl